№ 23.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1845. Poznań, dnia 10. Listopada.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Pisarze nasi poznańscy zaczęli teraz spory względem opinii publicznéj w dosyć obszernym rozbiorze. Zachodzą tam pytania, czy opinia może się tworzyć gdzie niemasz życia publicznego, gdzie skrępowana myśl przez niewolę prassy albo czy życie prywatne ma być uwzględniane w człowieku, którego się ocenia pod względem publicznym. Rozmaite w tych sporach poobjawiały się zdania, a wszystko dla téj przyczyny, że autorowie prostą rzecz biorą bardzo głęboko, rozdrabniają jedno pojęcie. Opinia więcéj nic niejest, tylko zdanie ogółu o charakterze pojedyńczego człowieka. Ci ludzie co umieją pisać, mogą swoje zdanie objawiać dwojakim sposobem, to jest piśmiennie i ustnie, ci zaś którzy nieposiadają téj wielkiéj i najznakomitszéj sztuki, na jaką się zdobył geniusz ludzki, objawiają tylko jednym sposobem, to jest ustnie, czyli przez mowę. Gdzie więc niemasz wolności druku, tam opinia wyrabia się niedrukowanym sposobem, przez rozmowy. Zarzucają niektórzy, że takie rozmowy zradzają opinią po byle jakich miejscach. Toć pewnie mało na tém zależy, gdzie co kto komu powiada, tylko czy mu prawdę powiada i jakie ma dowody na swoje twierdzenia. Toć i ci, co piszą i drukują, czy dla wolnéj czy dla ograniczonéj prassy, piszą i drukują nieraz to, co słyszeli i o czém powzięli przekonanie na zgromadzeniach i towarzystwach, które przemilczeć niż wymieniać wolą. Słowa i zdania, że przeszły przez pismo i druk, nie są ani mędrsze, ani prawdziwsze, ani szlachetniejsze, jak słowa wymówione, które brzmiały tylko w powietrzu.

Co do opinii, gdzie jest wolność druku i gdzie jéj niemasz, ta tylko różnica, że opinia drukowana tworzy się i rozwija prędzéj, ale nie szerzéj. Jeżeli zaś przyjdziemy kiedy do obszernych obwieszczeń za pomocą elektro-magnetyzmu i dziennikarstwo oprze się na jego sile, to opinia będzie się wyrabiała jeszcze spieszniéj, ale zawsze w ten sam sposób, jak się wyrabia przez rozmowy. Opinia zawsze stoi tylko na twierdzeniu: człowiek ten zrobił i robi takie rzeczy, a dowód na to jest taki i taki. Człowiek który ma przeciwko sobie opinią publiczną, dla udowodnionéj przyczyny czy to prywatnéj czy to publicznéj jest nieuczciwy. Komu zaś raz służy przymiotnik nieuczciwego, względem tego niemożna już robić pytania, czyli on téż niemoże być uważany za uczciwego pod względem publicznym?

Opinia publiczna, czy pisana czy drukowana czy rozgadywana, nigdy nie jest wyrokiem opieranym na zeznaniu obwinionego, na protokułach ze świadkami naocznymi, na ich przysięgach, chyba żeby się tyczyła człowieka, który był sądownie przekonany o swéj niegodziwości, ale takimi opinia już się właśnie nie trudni; są oni dla niéj trupami. Niemylność zatém opinii niema nigdy podstawy, któraby się dała rozumowo udowodnić, ale tylko ukazywała się dotychczas empirycznie. Vox populi, vox Dei, zostało tylko stwierdzone przez doświadczenie wieków.

Stronnictwa nikogo w opinii zgubić niepotrafią, bo stronictwa muszą zawsze być dwa i kiedy jedno mówi tak, drugie przeciwnie z pewnością odpowiada nieprawda. Na kogo więc tylko jedno stronnictwo rzuca potwarz, drugie stawa natychmiast w obronie spotwarzonego. Tu więc rzecz idzie między adwokatów i świadków, z których jedni potępiają, a drudzy

bronią. Przychodzą więc szczegóły, rozbiór i obadwa stronnictwa muszą się niejako zagłębić w przedmiot zarzutów. Dla tego niewidzę, czemuby po kawiarniach i po kasynach rzeczy nieopowiadać, nieszukać świadków, niezbierać podań i dowodów, jeżeli do tych zgromadzeń przychodzą ludzie uczciwi. Iść ich szukać do więzienia, jak u nas nazywają do fronfestu a w Warszawie do prochowni, toby był prosty nierozum, chociaż i tu czasem znajdują się uczciwi.

Jeżeli stronnictwo broniące człowieka zagrożonego od opinii, niereprezentuje żadnego publicznego interessu, ale jest tylko bandą przeciw publicznéj opinii i tylko bandą w sprzymierzu opór stawiających, wtedy ma ono już też i ludzi dawniéj od opinii potępionych, niejako przekonanych i stąd taka banda nikogo nieobroni, ale owszem obroną swoją zgubi do reszty. Atoli kiedy stronnictwo uczciwe broni kogo naprzeciw zarzutom, także od uczciwego stronnictwa pochodzącym, natenczas mimo całą nienawiść stronnictw i jedni i drudzy porozumiewają się względem zarzutów czynionych obwinionemu. Od uczciwości bowiem, nierozdzielną jest życzliwość dla niewinnego, a nienawiść dla winnego.

W dziejach widzimy przykłady, a zwłaszcza podczas zaburzeń ludu i rewolucyi, że człowiek niewinny na krzyknięcie kogokolwiek wpadł w wielkie niebezpieczeństwo, a nawet zginął. Aleć to niebyła opinia publiczna, tylko był krzyk pojedyńczy. To jego nieszczęście niema większéj styczności z opinią, jak gdyby był wypadł z pojazdu i zabił się na miejscu.

Przypatrzmy się życiu, a spostrzeżemy, że najcnotliwsi, są najbardziéj pobłażający. Kto cnotliwych ma za sobą, ten niema nigdy publicznéj opinii przeciw sobie. Treścią więc tych co stanowią opinią, są zawsze najcnotliwsi. Opinia zatém publiczna może być zanadto pobłażającą, a niedorzeczne jest twierdzenie, aby mogła być potwarczą.

Poświęcenie się.

Przez L. S.

(Ciąg dalszy.)

Postrzegłszy od razu, że to trzeba energicznie działać, na boku przygotowywałem zamiar ocalenia Heleny. Z czyjéjś bryczki stojącéj na dziedzińcu porwałem kobierzec i zanurzyłem go w beczce wody; to samo zrobiłem z moim płaszczem. Następnie schwyciwszy kilka sznurów i dość długą drabinę, rzuciłem się w dym i ogień wśród krzyku i podziwu patrzących. Galeryjka, na której stała Helena już się zajęła na dobre; trzeba było przebyć tę piekielną łaźnię. Choć dym wygryzał oczy, choć gorąco dech zabijało, przecież wdrapałem się; ale nowa przeciwność! ledwiem stanął obok Heleny, kiedy drabina zająwszy się, z częścią balkoniku runęła na ziemię.

— Spiesz się pani, dla Boga! zawołałem, obwijając ją zmoczonym kobiercem — nietrać tylko przytomności umysłu, a wyjdziemy z tego piekła.

— Ach! daremny już ratunek odrzekła z rospaczą. Jakżeż spuścimy się, kiedy drabiny niéma!

— Niebój się pani! jakoś poradzę.

I silnie przywiązałem dość długi sznur do téj części balkonu, która jeszcze cokolwiek się trzymała.

— A teraz okryj pani dobrze twarz i włosy, i obejmij mię mocno ramionami.

Powiedziawszy to, kazałem jéj mocno się trzymać; a sam uchwyciwszy za powróz zacząłem spuszczać się na dół. — Trudno wam opisać staroświeckiéj budowy tego domu; dość, że pod balkonem był jeszcze kawał pochyłego dachu stojący w ogniu. Na dziedzińcu rozległ się wrzask trwogi, gdyśmy oboje wpuścili się w to piekło gorejące. Od téj chwili niewiem jakim sposobem odprawiłem tę niebezpieczną podróż. Oślepiony, odurzony bólem głowy, spuszczałem się ku ziemi, aż nakoniec upadłem na płonące głownie, i przykryty zostałem żarzącémi się gruzy, niewiedząc bynajmniéj jaki los spotkał Helenę. Niewiem z czyjąś nakoniec pomocą, potłuczony, bez tchu, z osmolonemi włosy, z popieczonémi rękoma, prawie wpół martwy znalazłem się na środku dziedzińca; wtenczas ujrzałem Helenę i kasztelana porywających mię w swe objęcia — tu utraciłem zmysły.

Szczęściem rany moje niebyły wielkie ani niebezpieczne, kilka dni przepędzonych w łóżku wróciło mi dawne zdrowie. Helena, która dzięki szerokiemu i grubemu kobiercowi najmniejszéj ranki nieodniosła, aż do wyzdrowienia mojego, ciągle czuwała przy mojém łóżku.

Jak tylko wygoiłem się na dobre, zaraz oświadczyłem zamiar wyjazdu z ich domu. Na tę niespodziewaną wiadomość Helena zmięszała się okropnie.

— Jakto? rzekła niemogąc pokryć wzruszenia — Jakto pan chcesz nas opuszczać?... i tak nagle?

— Przecież zdaje mi się, że aż nadto długo zasiedziałem się u państwa; kiedy poselstwo moje, które jedynie mogłoby mię uprawiedliwić, tak dawno skończoném zostało....

— Co tam poselstwo! przerwała z żywością. Czy mnie tam kiedy ten proces obchodził?...

— Mam nadzieję — odrzekłem z uśmiechem — że nasze pożegnanie będzie nie nadługo. Przyjemność jakiéj tu doznaję, i smutek jaki mię ogarnia, gdy dom państwa muszę opuszczać, każą mi najgoręcéj wyglądać godziny powrotu w te strony.

— Czy to pan na serio mówisz? zapytała z niejaką niespokojnością. — Czy myślisz tak na zimno rozstać się z nami, dawszy dowód najwyższego poświęcenia się dla mnie.

— Jakto pani niepamiętasz? rzekłem biorąc jéj rękę — wszak ja ręczyłem za Janusza i teraz prawo moje zlewam na niego.

— Nierozumiem... odrzekła niepodnosząc oczu.

— Wytłumaczę się jasno: Janusz panią tak kocha, jak nikt z ludzi kochać cię lepiéj niepotrafi; wiém o tém że i pani jesteś mu wzajemną... lecz co się mnie tycze....

— Pan życieś swoje dla mnie naraził — przerwała.

— Zapewne... ale natomiast niemogę pani tylko przyjaźnią moją służyć; mniemam, że od niéj tego samego uczucia spodziewać się mogę, a to jest wszystko czego żądam. Powtarzam nawet, że tylko tym rodzajem wdzięczności serce pani może mię zaszczycić. A więc czy mogę polegać?...

Za całą odpowiedź ścisnęła mi dłoń małą swą rączką, na któréj serdeczny wycisnąłem pocałunek.... We trzy dni potém opuściłem dom kasztelana.

Tutaj Major umilkł, wyciągnął się na krześle i nogi na krzyż założył.

— I cóż to wszystko dowodzi mój Majorze! zawołałem — oto uratowałeś życie Helenie niekochając jéj! Miałeś wielką słuszność; lecz to wcale nieuniewinnia Janusza.

— Pleciesz nic do rzeczy — odparł Major — we wszystkiém, nim się sąd wyda, potrzeba czekać końca.

— Więc to jeszcze nie koniec? zawołaliśmy uradowani.

— Spodziewam się — że nie, teraz to właśnie najbardziéj zajmująca przychodzi katastrofa; pozwólcie mi jednak zapalić świéże cygaro.

III.

TUŁACZE. — NIESPODZIANY WYBAWICIEL. — UCIECZKA NA PRZEBÓJ.

W ponury i dżdżdysty wieczór pod późną jesień r. 183... siwiuteńki jakiś starzec w chłopskiéj guni, co krok grzęznąc w rozmięszaném błocie, przebierał się bocznym gościńcem ku pobliskiemu miastu. Obok niego szła kobieta, ile zdaje się młoda, także w stroju wieśniaczym, mająca głowę obwiązaną srokatą chustką w taki sposób, że tylko wyższa część twarzy była odkrytą. Oboje z widoczną trudnością przebywali kałuże i głębokie koleje. Starzec mianowicie co krok prawie potykał się, a co kilkanaście wspierał się na towarzyszce i odpoczywał — narzekając z cicha i gorzko wzdychając. Dziewczyna dodawała mu serca i nagliła o pospiech.

— Dla Boga! dla Boga! — mówiła — co poczniemy jak nas tu noc zaskoczy.

Leśniczostwo już niedaleko, a byle stary byl w domu, pewno nas przyjmą.

— Żeby go tylko zastać! smutno odrzekł staruszek — daléj niemiałbym siły zrobić i dziesięciu kroków.

I znowu się puścili; lecz droga stawała się coraz trudniejszą do przebycia, z powodu nawalonych chrustów. Dziewczyna, która dotąd utrzymywała jaką taką energiję w ojcu, sama zaczęła upadać na siłach, niemogąc nieraz nogi wydobyć z grząskiego błota.

— Matko najświętsza, ratuj nas! zawołała z przestrachem — jacyś konni.

— W rzeczy saméj, słychać było tentent czwałującéj jazdy, i we mgle rozeznać mundury i dzidy kozackie. Podróżni nasi uskoczyli ku przydrożnym krzakom, dziewczyna zaś instynktem wiedziona, zasłoniła sobą starca, jakby go chciała bronić. Porucznik kozacki jadący na czele, zatrzymał się przed nimi.

— Słuchaj ty dziewuszko! — zagabał po rusku — czyście niewidzieli jadącego tędy grafa z tego tam dwora za lasem?

— Widzieć my niewidzieli — odrzekła dziewczyna, taką ruszczyzną jaką chłopi mówią na Litwie; to wiem tylko, że kozaki spalili i zrabowali dwór; że stary miateżnik chciał uciekać, ale go dognali i zakuli w łańcuszki.

— Charoszo! charoszo! zdrastwuj krasawica! odrzekł uradowany kozak, konia wyciął pletnią i pocwałował ze swoim oddziałem.

— Ojcze! zawołała dziewczyna stłumionym głosem biorąc go za rękę — spieszmy ile sił; tą razą nam się udało, oby tak szczęśliwie i z innych wywikłać się trudności!

Po niemałych mozołach wybrnęli z błota i przyspieszyli kroku. Droga stawała się suchszą, więc niebawem zbliżyli się pod mieszkanie leśniczego. Z obawy jakiego niemiłego spotkania, nie weszli wrotami ale

od ogródka. Dziewczyna zapukała w okno od kuchenki. Małgorzata żona leśniczego wybiegła im otworzyć.

— Co to za ludzie? czego potrzebujecie? — zapytała, a w jéj twarzy był wyraz smutku, w oczach łzy stały.

— Przytułku na tę noc. Chcieliśmy dziś dostać się do miasta, ale droga ciężka, odrzekła dziewczyna.

— My sami niemamy się gdzie przytulić! — przerwała Małgorzata i zaszlochała gorzko.

— Małgorzato! co tobie? tu dziewczyna odsłoniła chustkę z twarzy — czyś nas niepoznała?!

— Dla Boga! wszak to nasza panna! to nasz pan! — tu rzuciła się im do nóg. Uciekajcie ztąd, uciekajcie państwo! — mówiła składając przed nimi ręce — gdyby was zobaczyli, poznali, zginęlibyście! — Już od godziny są tutaj — mego Jana szukają, powiadając że miateżnik, że go powieszą; Jan wziął strzelbę na plecy i umknął do lasu; a oni cały dom przewrócili do góry nogami, teraz piją i jeść sobie kazali gotować. Uciekajcie! mój panie! moja panienko! Na co my przyszli, że nawet naszym dobrodziejom dachu ani przytuliskać dać niemożem....

— Ale gdzież się podziejem! zawołała Helena, którą pewnie czytelnicy poznali — ojciec mój opadł na siłach — radź co Małgorzato....

— Żeby jeszcze mój stary, toby poradził.... ale ja biedna sierota.... Sama niewiém....

— Może macie wózek i konia? — zagadł kasztelan — już się sam zawiozę w miejsce bezpieczne....

— Wszystko zabrali!... wszystko, do ostatniéj krowy.... Mój Boże! mój Boże! i znowu zaszlochała....

— A gdyby gdzie nająć we wsi?...

— Ktoby tu najął!... chyba jeden Semen co siedzi na karczmie. Tak, tak najlepiéj będzie, niech państwo pójdą do karczmy, a Semen za rubelkà zaraz się podejmie....

— Dalekoż to?

— Zaraz za tą olszyną.... W tém dał się słyszeć chód męzki i brzęk ostróg — dla Boga! żeby was niepostrzegli.... uciekajcie!... niech się Bóg wami opiekuje moi kochani państwo!...

Małgorzata cofnęła się do domu, a nieszczęśliwi tułacze, ukryli się w gęstych krzewach i pospieszali ku karczmie. Ten zawód, ten nowy cios zamiast odjąć kasztelanowi siłę moralną, wlał mu energiję nad jego lata. Już teraz daleko skorszym i pewniejszym krokiem przedzierał się przez gęstwę, aż do karczemki stojącéj w lesie opodal odewsi, tak, że nieraz Helena nie mogła za nim podążyć. Gdy się zbliżyli pod wrota, doleciał ich krzyk pijących wieśniaków.

— Och mój Boże! — mówiła Helena, tam tyle luda! —

— Tém ci lepiéj — odparł starzec — w tłumie niebędą na nas uważać.

I weszli oboje drżący, pomięszani, a znalazłszy miejsce przy drzwiach, usiedli na ławce. W izbie pełno było chłopstwa, a najwięcéj tak nazwanych na Litwie burłaków czyli kacapów, którzy pili i rozprawiali. Starzec dla lepszego ukrycia się, udawał ciemnego na oczy; Helena zbliżyła się nieśmiało do szynkującéj dziewki i zażądała dwie szklanek piwa. Zasiedli oboje, popijając niby ze smakiem skwaśniały trunek.

Tymczasem, jeden z brodatych burłaków, wywijając kijem, zawołał:

— Oj żebym ja go dostał tego Lacha miateżnika! tobyśmy pili dopiero.

— Dobrać by to była gratka! przywtórzył drugi! tysiąc rubli ogłosił sprawnik za jego głowę.

— Ba! wtrącił trzeci — jak go tu poznać! powiadali mi ludzie, że się przebrał po mużycku.

— Jaé go znam dobrze — przecież rok temu kopałem u niego studnię; znam i córkę jego, krasna bestyja Laszka.... oj żeby mi popadła w ręce!...

— Uciekajmy ztąd ojcze! — szepnęła, blednąc Helena.

— Gdzież uciekniemy?... odrzekł z westchnieniem starzec.... Lepiéj pójdź rozmów się z gospodarzem o podwodę; zapłać co zechce.

Helena bojaźliwie przysunęła się do szynkarki i zapytała gdzie jest karczmarz.

— Ot stoi na dworze i gada z przejezdnymi kupcami. A cóż to macie do mego tatusia? — zagadnęła, wpatrując się w Helenę.

— Chciałabym koni wynająć do miasta ... — ojciec mój rozchorował się i niemoże iść daléj, a nam pilno potrzeba do cerulika....

Na to dziewczyna kręcąc głową, odrzekła: oj niewiem czy tatuś będzie mógł nająć; konie niedawno z drogi przyszły; ale spytam którego z tych burłaków... i zaraz obracając mowę do jednego z nich zagabła:

— Borys! niemielibyście czasem koni do najęcia?

— A czemu nie? odrzekł brodacz, przysuwając się ku rozmawiacym — i dla kogo i dokąd?

— Oto dla tego ślepego staruszka i córki jego — zawieziecie ich do miasteczka ... —

Burłak wziął się pod boki jedną ręką, a drugą wychylał kieliszek gorzałki.

— Czemu nie?.... ale od dwóch karbowańców niepojadę....

— Zapłacę wam co chcecie — odrzekła Helena, byleście pospieszyli....

— A z kądeście to waszmościanko? — zagabał tenże sam, wpatrując się jéj w oczy z podziwieniem, że chuda na pozór szlachcianeczka, czy wieśniaczka przystawała na tak wysoką cenę bez żadnego targu.

— Z niedaleka — odrzekła Helena, spuszczając oczy i płonąc — byliśmy w cudownem miejscu, teraz chcemy się dostać do doktora.

— Dajcie z góry dwa karbowańce, to pojadę....

A gdy widział, że Helena skwapliwie, lubo drżącą ręką dobywała pieniądze zawiązane w końcu chustki, dodał:

— Ale i parobkowi memu dacie co za fatygę....

— Dam mu co każecie....

— Héj! héj! — mówił burłak kręcąc głową podejrzliwie — widać, że macie siła groszy, niezaszkodziłoby i mnie poczęstować.

Helena obróciła się do szynkarki i rzekła:

— Proszę was, dajcie kieliszek wódki gospodarzowi.

Gdy szynkarka nalewała, drudzy burłacy obstąpili Helenę....

— I nas téz panienka, czy mołodyca nieuraczy jaką kropelką?

Helena widząc, że brodacze z pewną natarczywą zuchwałością zaglądali jéj w oczy, odwróciła się do ściany, gdy w tém jeden z nich, co mówił, że kopał studnię u kasztelana, uchwycił ją za ramię, spojrzał i kilka kroków odstąpił, a pomyślawszy chwilę przybliżył się ku starcowi i założywszy ręce, wpatrywał się weń z głęboką uwagą....

— Jéj Bohu! — mruknął nakoniec do siebie — to miateżniki!!!

Drudzy burłacy postrzegłszy te ruchy swego towarzysza, zbliżyli się doń ciekawie i tajemniczo; on téż skinąwszy na nich, poprowadził ich w kąt odleglejszy i zaczął coś po cichu rozprawiać, wskazując to na starca, to na dziewczynę.

Starzec, którego uwadze to wszystko nieuszło siedział osłupiały, ręce miał tylko złożone jak do modlitwy, po ruchu ust poznać było, że mówił pacierz, a po wznoszącéj się piersi, że ciężko wzdychał. Helena oparła się o ścianę pół nieżywa... jak ofiara czekająca ostatniego ciosu. Szynkarka zaś, pomiarkowawszy, że ojciec jéj za wynajęcie koni mógłby mieć dobry zarobek, wybiegła za nim na podwórze, chcąc go namówić.

Tymczasem brodacze naradzali się z sobą.

— Dajmy znać do zasidatela.

— Durak! co mnie zasidatel — żeby potém powiedział, że to on złapał....

— Prawdać i to, wykwitowałby nas niczém.

— Sami ich zwiążmy i zaprowadzimy do komendy.

— A pieniędzmi się podzielimy.

— Jużciż, co słuszność.

— Archipp ich zaczepi; — wszak on poznał....

— Daléj Archipp! my wam pomożem....

Lecz Archipp zamiast rozpocząć natarcie, wstrzymał swoich towarzyszy i położywszy palec na czole, tak im powiedział:

— Kiedy co robić, to trzeba mądrze. Jak tutaj ich zaczepim, tak znajdziem i dużo wspólników i narobi się hałasu. Ale najlepiéj zaproszę ich do siebie, aby obejrzeli wózek i konie; a dopiéro tam....

— Tak, tak — choroszo! przyprawdzali brodacze.

Starzec, któremu nieuszły te zmowy, a może téż ostrzeżony złowróżbém przeczuciem, dawał znaki porozumienia Helenie, i sam zaczął się wysuwać ku drzwiom. Helena widząc to poruszenie ojca, a również tknięta wewnętrzną trwogą, poskoczyła ku niemu. Oboje znaleźli się we drzwiach, przez które wchodziło kilku chłopów od podwód świeżo przybyłych. Tym sposobem zakryci zostali przed okiem zmawiających się burłaków.

— Uciekajmy! mówił drżący starzec — ten łotr mię poznał; jeżeli nieujdziem, zgubieni jesteśmy.

Helena nic nie odpowiadała, tylko podawszy rękę ojcu spiesznie wychodziła na podwórze, przemykając się między wozami. Wprawdzie las był o kilkadziesiąt kroków i dawał niejaką otuchę ukrycia się, lecz lada pogoń mogła ich była wytropić.

Gdy dwoje tych nieszczęśliwych ofiar szuka ratunku w ucieczce, burłacy spostrzegli się nakoniec, że im się z rąk wymknęli.

— Ha! niepowiedziałem, że to stary Lach miateżnik, — krzyknął Archipp zrywając się ku drzwiom — uciekli... daléj za nimi!

— Łapaj! łapaj! powrzaskiwali drudzy.

Cała ta czereda wysypała się z izby na gościniec idący przed karczmą, i natychmiast zoczyli ojca i córkę zmierzających do lasu.

— Mamy ich! mamy! — wołali podnosząc pałki nad głowami nieszczęśliwych.

Helena tuliła się do ojca zasłaniając go sobą; starzec zaś z obliczem pełném godności, i głosem nakazu, dobytym z głębi piersi, przemówił do napastników:

— Ani mi się waż żaden przystąpić — bo pierwszemu w łeb wypalę. — W tém wyjął z zanadrza parę krucic i odwiódł kurki.

Burłacy odskoczyli kilka kroków, i popuszczali pałki — lecz zajadły i przytomny Archipp kiwnął na wyrostka, wskazał mu osiodłanego przy płocie konia, i rzekł:

— Siadaj Wańku i pędź po kozaków co tam stoją we wsi.

Starzec po tém gwałtownem wysileniu zachwiał się na nogach, Helena na pół prawie omdlała....

Burłacy śledzący każde ich poruszenie rzucili się jak opętani; starcowi wydarli krucice i powaliwszy go na ziemię zaczęli wiązać. Helena odepchnięta silną pięścią upadła na wznak....

Cała zgraja tych oprawców zatrudniona krępowaniem swéj zdobyczy, nieuważała jak w téj chwili kołokolczyk dzwoniący gościńcem nagle zatrzymał się przed karczmą. Był to elegancki powóz, w nim siedział piękny mężczyzna w płaszczu wojskowym, i w czapce z czerwonym paskiem. Zapewne uderzyła go cała ta scena, na którą w sam raz nadjechał, bo wyskoczył z pojazdu, roztrącił silną dłonią burłaków, a spojrzawszy na twarz starca i na blade oblicze dziewicy, ryknął piorunującym głosem:

— Co to jest?! co wam ten starzec zawinił?

Brodacze na widok oficera poodskakiwali na bok i pozdejmowali czapki.

— To miateżnik! wasze wysoko błahorodyje!...

— Kłamstwo! ja znam tego staruszka — nie on, ale wy rozbójniki!...

Puśćcie ich natychmiast — precz mi ztąd rabusie!...

Brodaczę zaczęli ustępować, nieprzestając wszakże odgrażać i mruczyć....

— Przepadło naszych tysiąc rubli!...

Oficer to dosłyszał. —

— Spodziewaliście się tysiąc rubli; każę wam wyliczyć, ale po tysiąc pletni za rozbój na publicznym gościńcu.

Potém zawołał na dwóch swoich deńszczyków — którzy rozwiązali starca — on sam zajął się trzeźwieniem Heleny; gdy przyszła do siebie, znalazła się obok ojca w wygodnym powozie. Oficer siedział na przodzie; w chwili gdy wołał na zwoszczyka: Stupaj! rzucił przed osłupiałych Burłaków worek z rublami.

Konie podarły z kopyta; oficer ciągle był milczący, dopiero, gdy przyjechali na rozstajne drogi, widocznie spadł mu ciężar z piersi, bo czuł, że pogoń jeżeli jaka będzie, tak łatwo wpaść na trop jego niemoże.

Zaczynała się droga piaszczysta i sucha; konie leciały jak szalone; wiele mil zrobili? niewiém, dość że koło północy stanęli szczęśliwie w domu Janusza Granowskiego.

(Dokończenie nastąpi.)

Co stanowi duszę ludów?

Trzeba się lękać, ażeby wzmacniając węzły społeczeństwa, nie zrywać węzłów natury.
Bernardin de Saintpierre.

Tryumf światła był zawsze przychylnym wielkości rodzaju ludzkiego.
P. de Staël.

Ze wszystkich kalectw ludzkich najsmutniejszém jest uśpienie duszy. Chcesz mieć tego uśpienia duchowego przykłady? Pojrzyj po za siebie i przed sobą, pojrzyj na te massy ludu, co cię otaczają; przypatrz się każdemu z osobna, zastanów się, co robią, jak żyją, a poznasz machiny w ciałach ludzkich, nie ludzi i powiesz sobie ileż to ludzi przechodzi po ziemi, nieobudziwszy się wcale! Należy do tych uśpionych i ten lud, który ugina się pod ciężarem życia i którego wszelkie władze gubią się w téj jednéj myśli: pracy i chleba; i każdy człowiek, co kładzie się spać w wieczór, wstaje rano, ubiera się, załatwia interessa, je śniadanie, potém obiad, i trawi bez innéj myśli. — Jest to pojętność zwierzęca, materya w ruchu, nic więcej. — Chciałbym wiedzieć z dokładnością ilość myśli tego mnóstwa, które co rano wychodzi z domów, zapełnia ulice, zalega place, toczy się, huczy, spieszy i za nadejściem pewnych godzin nocy, znowu spokojnie odpływa massa o stu tysięcy głowach; która po za obrębem namiętności swoich objawia uczucia szlachetne, uwielbia Sokratesa i szanuje cnotę i to co jest dobre, ale któréj każde individuum wzięte z osobna, przez dziwną sprzeczność stawia niby rodzaj zwierzęcia z twarzą ludzką, zdaje się mieć oczy, aby niewidzieć, uszy aby niesłyszeć, umysł aby niemyśleć, a przy tém wszystkiem duszę zatopioną w materyi. Zapytajmy się dla czego tak mało prawd przedarło się do sumienia ludów, niemówię już barbarzyńskich, ale ucywilizowanych; — dla czego cała massa rodzaju ludzkiego z małemi wyjątkami, żyje przykuta do swoich zastarzałych nawyknień, jak gdyby sam tylko instynkt posiadała.

Na takowe wypadki historya daje odpowiedź, będącą najstósowniejszym fenomenem. Na tym globie uśpionym, widać gdzie niegdzie powstających mędrców, jakby pochodnie, do których zgromadzają się narody.

Całe narody otrzymują myśl jednego człowieka, albo myśl samego Boga. Mojżesz, Konfucyusz, Buda, Mahomet, Sokrates, Jezus Chrystus, oto głowy my-

ślące dla ludzkości i za ludzkość, głowy moralne rodzaju ludzkiego. Są to prawodawcy narodów, oni to panują nad kulą ziemską, którą podzielili między siebie, nadają duszę każdemu ludowi.

Ten wpływ jest tak powszechny, że można by go wziąść za prawo natury. Myśli moralne geniuszu stają się, jak gdyby instynktem narodów, i narody podnoszą się do wielkości w miarę geniuszu swego prawodawcy.

Stąd to pochodzą cuda Sparty, Aten i Rzymu. Dusza wielkich ludzi żyła w tłumie, a tłum razem wzięty, doświadczał wielkich uczuć wielkiego człowieka.

W średnich wiekach i aż do naszych czasów powstała niezmierna korporacya i zarzuciła sieci na świat cywilizowany: już to nie jeden wielki człowiek, ale kościół Chrystusa stał się duszą zachodu.

Tu prawdziwy Bóg-człowiek natchnął ludzkość duchem swoim. Znów myśl Bramy i Mahometa, zamknęła w sobie wschód cały. Gdy wszystkie prawodawstwa, wszystkie teokracye starożytne zamarły; rodzaj ludzki żył już tylko témi trzéma duszami. Ludzkość rozdzieliła się na trzy wielkie społeczeństwa, a te zawistne sobie nawzajem rozdzielały ludy, ograniczały ich umysły i fanatyzowały je przesądami i występkami moralności źle zrozumianéj.

Dzisiaj przekształcenie społeczeńskie dopełnia się. Wyobrażenia mnożą się i narody zaczynają pojmować, ale w miarę, jak ilość myśli wzrasta pomiędzy niémi, odrywają się od podań religijnych i ojczystych. Wiara opuszcza je, a porusza je dusza prawodawców!

Jest to straszliwa rewolucya, rewolucya największa, jaka kiedykolwiek zatrzęsła tym światem, ponieważ dąży do poddania ludów szaleństwu rozkiełznanego do samowoli rozumu; ale zarówno zmierza do zniesienia ich odosobnienia, niszcząc zwierzchności religijne, które je rozdzielają. Historya w potężnym swym postępie kiedyś połączy narody, te rozrzucone członki rodzaju ludzkiego, i nada im jednę moralność, wyczerpaną z praw przyrodzonych i jednę duszę wziętą z łona samego Boga!

Wolność druku jest główną przyczyną, i główną dźwignią téj rewolucyi w narodach. Salvandy powiada, że żądaniem prassy, równie jak społeczeństwa jest: rozbroić mierność, znieść namiętności, zazdrości i zawiści antisocyalne, dozwalając talentowi wynieść się na szczyt i zawołać jak Jan (XXII.): „Oto jestem, ja tu sam panować będę!“

Inny mędrzec dodaje: kiedy prassa ma prawo, wszystko mówić, trzeba ażeby ludzie, których naucza, mieli talent osądzenia wszystkiego. Im śmielszą staje się ona, tém więcéj wymaga w czytelnikach swoich zdolności charakteru, sądu trafnego i silnego. Jest to niezwalczone prawo rzeczy ludzkich, iż każda nowa wolność wymaga dla zrównoważenia jéj nowéj cnoty; każde nowe prawo, rodzi nowy obowiązek.

Prassa wolna, jest to księga, któréj stronnice wyciskają się we wszystkich językach; jest żyjący obraz świata, gdzie myśli najwznioślejsze, kwestye polityczne, kwestye religijne, kwestye chwały i wolności, pokoju i wojny, skarbowości i sprawiedliwości roztrząsają się swobodnie i bez ogródki, i oddawają się pod wyrok sumienia wielkiego sądu, to jest: przysięgłych narodów.

Ulotne karty dzieła bez końca, które umierają z każdym wieczorem, rodzą się z każdym porankiem, coraz namiętniejsze i coraz gwałtowniejsze, dodające myśl dzisiajszą do myśli wczorajszéj; ostrzegające umysł, obudzające massy i wołające do nich bezustannie: Naprzód! Naprzód! — Przebiegniéj te stronnice dzienników jeszcze wilgotne, wyszłe co dopiéro z pod prassy, jesteś w Konstantynopolu, Ispahanie, Moskwie, Londynie, Paryżu. Tam znajdziesz Europę, gdzie królowie upadają dla braku moralności; Azyę, gdzie umierają narody dla braku sił umysłowych; Amerykę z miastami i pustyniami, przedstawiającą podwójny obraz, wolności ucywilizowanéj i wolności dzikiéj. Czytasz codziennie, co godzina o wszystkich wydarzeniach kuli ziemskiéj: tu bitwa, oblężenie, traktat, tu kongres monarchów lub gwałtowne rozprawy, zgromadzenia ludzi. Niema już tajnych narad, niema ciemnych dyplomacyi, niema historyi pokrytych hypokryzyją! Gabinety królów otwierają się, spojrzenia ludów sięgają w ich tajniki, prawda ze wszystkich stron jaśnieje. Ogromny obraz myśli ludzkiéj, wieczne zapasy ducha z materyą, wśród których widzisz wszędzie postęp cywilizacyi i rodzaj ludzki idący wprzód po szczególe ku śmierci, a w massach ku wolności!

Ogień, wiatr, wody, wszystkie żywioły służą do rozmnożenia i rozszerzenia téj księgi, która korzysta, ze wszystkich świateł, zbogaca się wszelkiémi odkryciami. Ukazuje się, a miliony rąk porywają ją, a miliony spojrzeń nią się napawają. Z miasta do miasta, z królestwa do królestwa spieszy gońcem poruszać wszystkie głowy, rozżarzać wszystkie serca, zaprzątać wszystkie myśli, rzucając pośród ludów złe i dobre, błąd i prawdę, rodząc zamęt, który poprzedza stworzenie.

Oto potęga nowa, umysłowa, nieodparta, która dąży do skruszenia instytucyi, zatraty wiary, zabicia duszy ludów.

Jest to już rzeczą ustaloną, że prassa peryodyczna panuje nad światem; stawia ona ludy w obec ludów, wszystkie przypatrują się sobie i sądzą się na wzajem.

ROZMAITOŚCI.

— Z Poznania. — Roku 1845. wyszedł poszyt Xty i zawiera: 1) Historyczne wyłożenie dawniejszych wypadków hiszpańskich, w celu objaśnienia dzisiajszego stanu. 2) Trzy prelekcye Erika Gustawa Geijera, profsssora historyi w uniwersytecie upsalskim (dokończ.). 3) O organizacyi stosunków rólniczych we Francyi, ze względu na reformy dzisiajsze spółeczne (dokończ.). 4) Jezuityzm odrodzony, przez E. K. (dokończ.) 5) Rozmaitości.

— W Lipsku zyskała Maria Alboni, altystka z Medjolanu powszechny oblask Równocześnie z nią znajduje się w Lipsku Lisa Christiani z Paryża wyborna wiolonczelistka.

— W jednym z najpiękniejszych hoteli na przedmieściu St. Germain w Paryżu mnóstwo jest zatrudnionych robotników, przyozdobianiem ogromnéj sali, w któréj ma się zgromadzić towarzystwo w bieżącym miesiącu. Będzie to akademia kobiet, utworzona według nowych zasad. Planem opiekuje się jedna bogata dama, która na ten cel przeznaczyła część majątku swego. Akademiczki pobierać będą pensye i pracować mają nad słownikiem języka francuzkiego, który ma wszystkie przewyższyć słowniki objętością, dokładnością i wartością. Dziesięć autorek już zamianowano członkami czynnemi akademii, a ta liczba dopełnić się ma aż do czterdziestu.

W Brazylii (w prowincyi Bahia) odkryto kopalnie nowe diamentów, o których nieobliczonych bogactwach opowiadają cuda, które tylko w powiastkach wschodnich się powtarzają. Przed kilku laty znaleziono w Assuara, w części pustéj Bahii, złoto, a zaraz mnóstwo udało się w tamte okolice awanturników. Ale złoto które ich tam znęciło, było przepowiednią daleko większych ukrytych tam skarbów. W każdéj rzece, na każdym pagórku obszernéj doliny Siniara rozrzucone leżały obok złota najdroższe i najpiękniejsze kamienie, które wpadały w ręce pierwszemu lepszemu, co się po nie schylił. Przed trzema laty zrobiono to odkrycie, a okolica dawniéj pusta zaludniła się 40,000 mieszkańcami. Sprawozdania o tamecznych bogactw tak brzmią bajecznie, iż trudno byłoby im uwierzyć, gdyby zewsząd o nich nie dochodziły nas wiadomości. Złota tak jest tam wiele, że nikt na nie nie patrzy, tylko szuka i zbiera diamenty. Nietylko drogie te kamienie w wielkiem mnóstwie przedają do Rio de Janeiro, ale każdy okręt zabiera z tamtąd znaczne skarby w drogich kamieniach.

MODY.

Paryż, dnia 27. Października 1845.

Teraz możemy podać nowości, które w nadchodzącéj zimie przeważną odgrywać będą rolę.

Między rozmaitemi kształtami panującemi wśród odzień wierzchnich, opończy i płaszczyków, bez zaprzeczenia najpiękniejsze są palletot-szlafroczki. Odzienie to nienaznacza talii, ma trzy szwy, ale żadnych fałd na przodzie, ani na tyle. Zachodzi aż do kolan, a końce są zaokrąglone z przodu, nie tak jak w roku przeszłym, będąc rogate. Kołnierz u tego odzienia jest okrągły, szeroki, z rękawami lub bez rękawów, może być z boku otwarte, lub też sznurowane. Inny kształt podobnego odzienia opatrzony był we fałdy z tyłu, lecz wówczas są przynajmniéj krótkie rękawy potrzebne. Ostatni ten rodzaj odzienia pięknie się wydaje, jeżeli jest z jedwabiu wyrobiony, z aksamitu zaś bez fałd go robią. Zdobniéj wyglądają w czarnych lub przynajmniéj w ciemnych kolorach, podszyte atłasem królowéj, szkockiem gros, atłasem, lewantyną w ulubionych kolorach, nawet mory używają za podszewkę. Wystrój stosuje się do tkaniny odzienia, z wstążek aksamitnych fręzlowatych, pasamonów lub szerokich pasków aksamitnych.

Szlafroczki — opończe z przystającym stanikiem, peleryną i rękawami widzimy także, lecz w małéj liczbie, robią je z jedwabiu lub kaszemiru merynusowego. Wizytki z aksamitu, ulubione w ostatniéj jesieni, podszywają atłasem, orzucają burtą na około; noszą je tylko młode damy.

Wybór nowych tkanin na stroje odznacza się szczególniéj w tym roku; po większéj częsci mają sute wzory i szerokie pasy. Przed innemi odznacza się damast i alhambra Pekin — w szerokie pasy satynowane. Pompadour na wieczory zawsze się jeszcze podoba, mniéj jednak będzie poszukiwany, aniżeli w roku upłynionym. Odznacza się szerszemi pasami i dużemi bukietami. Na suknie pół strojne biorą satynowane pekiny, lśniące fasonny, jednokolorowe mory i popeliny. Satynowane pasy ukośne niewyszły dotąd z mody, ale nie tak często z podobnemi występują tkaninami, jak porą latową. Na ranne negliże są stósowne wełniane pekiny, popeliny, kaszemiry i merynosy.

Objaśnienie ryciny.

1. Kapotka krepowa z kwiatami. Szlafroczek jedwabny orzucony guziczkami.
2. Kapotka jedwabna z słaniającém się piórem. Suknia z połyskującéj tkaniny jedwabnéj z otwartym stanikiem i gładkiemi rękawami.
3. Frak sukienny. Kamizelka atłasowa. Pantalony sukienne.

Redaktor: *N. Kamieński.* Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*